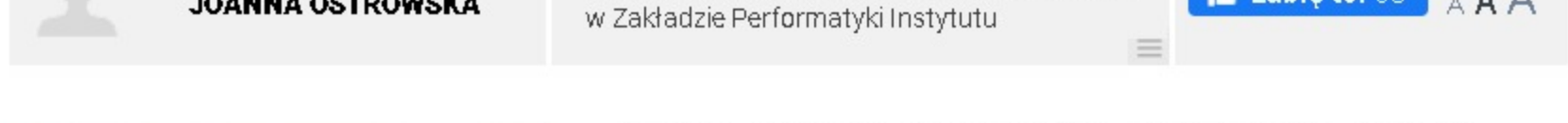


Jednostka zerem, jednostka niczym



Bywają takie przedstawienia, na których człowiek-recenzent zapomina, że ma oceniać: analizować, patrzyć krytycznie, zapamiętywać jak najwięcej, żeby dać wiarygodne świadectwo oceny spektaklu.

Bywają takie spektakle, które – choć wcale nie udają, że oto coś dzieje się „naprawdę” – wciągają w swój świat bez reszty i wyrzucają z niego z obrazem kilku pięknych scen, dźwięków, wrażeń, które trudno nazwać, bo można zabić coś subtelnego, delikatnego i bardzo osobistego, jakieś wzruszenia, jakieś lęki. To nie zdarza się często, ale kiedy się zdarzy, ma się poczucie, że oto udało się natrafić na spektakl wybitny.

Gdy przyjdzie sen – tragedia miłosna legnickiego duetu Katarzyna Dworak i Paweł Wołak wystawiona na scenie Teatru Lubuskiego jest właśnie takim przedstawieniem. To druga część tryptyku „wiejskiego”, jakiego część pierwszą miałam okazję oglądać w Legnicy. *Droga śliska od traw* był także bardzo dobrym przedstawieniem, a jego tekst został nagrodzony w 2014 roku w Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Trudno jest mi nie patrzeć na ten zielonogórski spektakl w kontekście poprzedniego, tym bardziej, iż oba posiadają pewne wspólne cechy formalne, czemu trudno się dziwić, skoro stworzył je ten sam tandem. W obu narracja, nie tylko w sensie literackim, ale także na planie inscenizacyjnym prowadzona jest na zmianę za pomocą dialogów i monologów postaci, poprzez te ostatnie mamy dostęp nie tylko do ich świadomości, ale także, do tego, co dzieje się w prezentowanej historii. W ten sposób z jednej strony dają one wgląd w wewnętrzne życie postaci, z drugiej posuwają akcję do przodu. Głównym przesunięciem w sposobie prowadzenia narracji między pierwszym a drugim spektaklem jest to, iż ten legnicki opierał się głównie na aktorskim opowiadaniu o tym, co robią postacie, gdzieś niedaleko inkrustowanym działaniem, w *Gdy przyjdzie sen...* wypowiadane słowo jest równoważone działaniem fizycznym, które momentami jest wręcz naczelnym sposobem budowania dramatyczności.

Historia opowiedziana w ten spektakl rozpięta jest na planie emocji i temperatury uczuć między liryzmem *A jak królem, a jak katem będziesz* Tadeusza Nowaka, z drugiej – tępym okrucieństwem *Malowanego ptaka* Kosińskiego, z trzeciej – banalnych telewizyjnych *reality show* pokazujących „samo życie zwykłych ludzi”. Rama utkana z dwóch pierwszych kontekstów odziera natomiast całą historię z banalności; to, że happy endu nie będzie, jest wiadome od samego początku. Bezsens, okrucieństwo i rzeczywiście głęboko tragiczny wymiar finału wyrwywają historię z kategorii pospolitych opowieści o „samym życiu” i przenoszą w prawdziwie, głęboko i autentycznie (można by rzec – antycznie) tragiczny wymiar. Już w samym planie tekstowym spektakl zachwyca finezyjnym balansowaniem na linii między niemal socjologiczną obserwacją a „realizmem magicznym”, który wyrwa całą opowieść z planu „oto diagnoza społeczności wiejskiej” i przenosi w świat ontologicznych, ludzkich tragedii.

Protagonistką jest początkowo Basia (Alicja Stasiewicz), która nie chce, nie potrafi odnaleźć się w miejscu, w jakim przyszło jej żyć: „Woda mi tu nie smakuje, kwiaty nie pachną, potykam się ciągle. Uciec nie ma za co... a jak nie ma za co... to nie ma gdzie”. Przytwardza ją jeszcze mocniej do tego miejsca Jasiek (Ernest Nita), z którym ma dziecko, ale za którego wyjść nie chce. Ta postawa czyni z niej podwójną outsiderkę – samo się wykluczającą z powodu braku poczucia wspólnoty z otaczającymi ją ludźmi, a z drugiej strony, przez świadome łamanie praw społeczności – przez tę społeczność odrzucaną. Celnie oddaje to kwestia wypowiedziana przez Księdza (Marek Sitarski): „Bóg cię kocha, ja nie muszę”. Basia to „dziwadło”, ale takie, które jest wyzwaniem, bo śmiało staje na przekór. Stasiewicz poprowadziła jej postać tak, że trudno stanąć po stronie Basi – jest lekko wulgarna w swojej uwodziecielsko-nałwonej postawie, opryskliwa i – inaczej trudno to powiedzieć – dość płytka. Jedynym, co napędza jej działania, jest chęć wyrwania się ze wsi i jest dla tego w stanie zrobić wszystko, bez względu na ludzi, którzy są z nią związani; jest w stanie zrobić wszystko, by wyjechać i zacząć nowe życie, inne od dotychczasowego, w którym „chłodna się robię, a gorącą wolę być”. Dlatego bez oporów idzie w krzaki z przybyszem z dużego miasta, Leszkiem (Robert Kuraś), uwodzi chłopaka koleżanki Thomasa (James Malcolm) i podobnie „instynktownie” wraca do Jaska.

Tak naprawdę to choć ją spotkał najstrasliwszy los, to nie ona jest najtragiczniejszą postacią. Ta rola przypadła Jasiowi – porzuconemu przez Basię już wtedy, kiedy jeszcze z nim żyła, niemal publicznie przez nią zdradzonemu, odrzuconemu przez społeczność, kiedy znienacka się wzbogacił, potem dość instrumentalnie potraktowanemu przez Basię, która na wieść o bogactwie do niego wróciła, a na koniec oskarżonemu o zbrodnię, której nie popełnił. Tragizm jego postaci ujawnia się właśnie w relacji z Basią. To, co początkowo wydaje się jedynie chęcią ułożenia sobie życia zgodnie z powszechnie przyjętymi regułami (jest dziecko, trzeba się ożenić, baba musi być posłuszną), okazuje się – jakby ku jego własnemu zdumieniu – głębokim i autentycznym uczuciem do Basi. Kiedy porzucono i znienacka wzbogacony postanawia zafundować sobie najbardziej luksusową prostytutkę (Warszawka – Joanna Wąż), w trakcie seksu, kiedy zamyka oczy, i tak widzi Basię. Dlatego kiedy ona postanawia wrócić, nie tylko przyjmuje ją z powrotem, ale odbiera ją z rąk brata, który jak sukę wziął ją na łańcuch. W ten sposób Jasiu sam, choć nie do końca świadomie, występuje przeciw wiejskiej wspólnotce. Dlatego – zgodnie z jej logiką myślenia i wynikającym z niej kodeksem – jako wyraźny, choć nieświadomy buntownik musi zostać ukarany. Karę ponosi on – dlatego oraz dlatego, że ginie ona – Basia. Zagrożenie dla społeczności znika, wraca spokój, choć okupiony ofiarami. Nita nie wygrywa w swojej postaci żadnych rysów tragizmu. Pojawia się on wyłącznie w ostatniej scenie, kiedy zamknięty w więzieniu bohater złorzeczy Bogu: „Jak już się wszystko ułożyło... Wszystko dobrze było... To żeś sobie przypomniał o mnie... Kolejnego człowieka z tylko sobie znanych powodów żeś zniszczył. Albo ciebie nie ma, albo ty okrutny jesteś”. Mimo tego z ducha romantycznego wadzenia się z Bogiem Jasiek Nity do końca pozostaje prostym chłopkiem roztropkiem, a tragizm rodzi się nie tyle z jego gry, co wstrząsającej opowieści o wydarzeniach, zderzonej z niemal zwierzęcym, bezrozumnym, jakby nie do końca świadomym zachowaniem Jasia. Staje się on bohaterem, tragicznym jakby mimo tego, jaką formę nadaje mu swoją – celową! – grą aktor.

Inszenizacja wzmacnia tę wymowę dając, fizyczny obraz tragizmu pojedynczego ludzkiego życia postawionego w sytuacji konfrontacji z „gromadą”. To swojskie słowo zostało użyte w tym miejscu nieprzypadkowo, bowiem budowanie sytuacji przedstawionej odsyła początkowo w warstwie estetycznej gdzieś do bardzo tradycyjnego (przynajmniej w kontekście teatralnym) sposobu przedstawiania tego bliskiego, a równocześnie egzotycznego dla mieszczaucha świata. Oto na scenie ograniczonej z trzech stron foliowymi zasłonami (podobnie jak było to w *Drodze śliskiej od traw...*), z których ta centralna pełni rolę ekranu dla projekcji, stoją dwie proste, bardzo długie drewniane ławy, przypominające kościelne albo takie, jak w sądzie. To w nich, na nich, dzięki różnym konfiguracjom osobowym pojawiać się będą wszystkie miejsca akcji. Ta prostota przestrzeni kieruje uwagę na to, co swoimi działaniami budują aktorzy i to oni są bardzo mocną stroną spektaklu. Na scenie widzimy cały czas osiemnastu osób, czyli niemal cały zespół teatru. Razem występują jako „chór polski”, z którego wyłaniają się poszczególne postacie dramatu. Ich indywidualna postawa jest czasem w swojej wymowie inna niż ta, jaka wyłania się z wypowiedzi całego chóru. Lecz to właśnie chór jako całość, jego słowa, jego działania mają największy wpływ na kształt zdarzeń w świecie przedstawionym.

Jakiś czas temu pisałam, przy okazji premiery *Oh! Odessa – Mama...*, że „zespół aktorski Lubuskiego Teatru jest w tej chwili w takiej formie, że mógłby z powodzeniem wystąpić w dowolnej produkcji musicalowej i wytrzymać konkurencję z aktorami specjalizującymi się w takich spektaklach”. Ostatnia premiera pokazała, że ich znakomite przygotowanie wokalne i rytmiczne wykracza poza ten jeden gatunek spektakli muzycznych. Autorem muzyki do *Gdy przyjdzie sen...* jest Jacek Hałas – „nomada kultury”, twórca kojarzony z tym, co można nazwać muzyką norwim czy etniczną. Taką też, bardzo „etniczną” muzykę zaproponował do tego spektaklu. Novum jest to, iż muzyka, a konkretniej cała warstwa dźwiękowa jest w całości wytwarzana przez aktorów znajdujących się na scenie, którzy w sposób bardzo naturalny i udatny odtwarzają dźwięki tradycyjnej wsi (szum drzew, odgłosy zwierząt). Przygotowane przez Hałasa kompozycje, śpiewane *a capella* przez aktorów, znakomicie wpisują się w nurt w polskim teatrze kojarzony z teatrem „antropologii kulturowej”, czyli spektaklami tych grup, które korzystają w przedstawieniach z technik wokalnych pochodzących z kultur ludowych czy też dawnych. Zielonogórscy aktorzy odnaleźliby się znakomicie w spektaklach Gardzienic, poziomem wykonawstwa absolutnie im nie ustępując – śpiewając, wystukując zbiorowo rytm nogami, budowali niezwykłą muzyczność przedstawienia. To ona oraz gra aktorów i tekst razem budowały obraz świata jednocześnie archetypicznego, ale i mocno osadzonego w naszym teraz. Dlatego może ten spektakl zrobił na mnie o wiele większe wrażenie niż jakiegokolwiek Gardzienic czy podobnych im teatrów? Połączenie prostych projekcji, takiej scenografii, tekstu, gry aktorskiej, choć mogło się wydawać zaczerpnięte z różnych porządków estetycznych, razem tworzyło bardzo spójne formalnie dzieło, w którym rubaszność przenika się z delikatnością i wzruszeniem, a okrucieństwo kontrastuje z liryzmem.

Zapadł we mnie ten spektakl kilkoma pięknymi i poruszającym scenami, które jakby wbrew wysokiej temperaturze uczyć, jakiej wymagały, rozgrywane były w dystansie postaci między sobą, a także w jakimś powolnym, mrozącym chłodzie. Pierwsza z nich to scena uwiedzenia przez Basię Thomasa, w której pokazano, jak bardzo ten sam akt fizyczny dla uczestniczących w nim ludzi był zupełnie innym doznaniem. Basia, siedząc w półmroku, namiętnie szepce kusicielskie słowa, które są metaforą tego, co się między nimi odbywa; metaforą, która jest dobrze dobranym kluczem do ciała Thomasa – ciała, jakie ma jej zapewnić bardzo zwykłą rzecz: metę w mieście, w jakiej mogłaby się zatrzymać, i nowego faceta. Thomas natomiast przeżywa swoje rzeczywiste uniesienia, ukazane tu poprzez jego opadanie na ręce innych aktorów, którzy potem unoszą go znowu do pionu. Bardzo piękna, poetycka scena, oddająca dokładnie, ale nie dosadnie to, co się odbywa między bohaterami. Kolejną taką mocną sceną jest ta, w której brat Basi, Mietek (Aleksander Stasiewicz), by uchronić swoją rodzinę przed dalszymi drwinami we wsi, bierze dziewczynę na łańcuch. Mietek zapina Basia łańcuch wokół szyi, ta usuwa go od niego uciec, idąc na kolanach z ręką wyciągniętą przed siebie (w pewnym momencie także w stronę widzów), on pozwala jej trochę odejść, a potem przyciąga z powrotem do siebie. Wszystko to rozgrywane jest spokojnie, monotonnie, niemal statycznie, w bardzo wolnym tempie; pozornie nie ma w tej scenie gwałtowności, co czyni ją jeszcze bardziej brutalną. Podobnie jest z ostatnimi scenami: fizycznego „pojednania się” Basi i Jasia, pożaru stodoły i zamknięcia Jasia w więzieniu. Grane są przez aktorów oddalonych od siebie, jedyny kontakt, jaki między nimi zachodzi, to przeplatające się indywidualne narracje, znów jakby chłodne i spokojne, a przez to wstrząsające. Mimo prezentacji strasznych wydarzeń twórcy spektaklu nie formułują żadnych oskarżeń, dzięki dystansowi i pozornemu chładowi prowadzenia opowieści pokazują okrucieństwo w czystej formie, wypreparowane z otoczki „wiejskości” czy „ludowości”.

Gdy przyjdzie sen – tragedia miłosna to najlepszy spektakl, jaki można było oglądać w Teatrze Lubuskim w ostatnich sezonach. Jeśli forma duetu PiK rozwijać się będzie tak dale, to zapowiedziany już zamykający tryptyk spektakl ma szansę być arcydziełem. I – wyrokujeć po przesuwaniu się kolejnych realizacji tryptyku wzdlż drogę krajowej nr 5 – powinien pojawić się w Gorzowie: to też teatr z dobrym zespołem aktorskim.

Na koniec pozwól sobie na taki apel do widzów: wyłączajcie, a nie „wyciszajcie” telefony na czas spektaklu! Buczenie waszych torebek czy kieszeni naprawdę potrafi zniszczyć nastroj najpiękniejszej chwili.

7-10-2015

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze
Gdy przyjdzie sen – tragedia miłosna
scenariusz, reżyseria, ruch sceniczny: Paweł Wołak i Katarzyna Dworak (PiK)
scenografia i kostiumy: Małgorzata Bulanda
muzyka: Jacek Hałas, wykonanie: Zespół Aktorski
projekcje multimedialne: Adrianna Dziadyska
obsada: Marek Sitarski, Elżbieta Donimirska, Ernest Nita, Alicja Stasiewicz, Aleksander Stasiewicz, Marta Frąckowiak, Tatiana Kołodziejewska, Robert Kuraś, Kinga Kaszewska-Braver, James Malcolm, Romana Filipowska, Anna Chąbowska, Joanna Wąż, Włodek Brawer, Urszula Zdanowicz-Labiak, Radosław Walenda, Joanna Koc, Beata Sobicka-Kupczyk
premiery: 04.09.2015

TAGI: Jacek Hałas, Paweł Wołak, Katarzyna Dworak, Małgorzata Bulanda, Adrianna Dziadyska, Zielona Góra, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego, [Udostępnij](#) [Lubię to!](#)

SKOMENTUJ

Autór lub zaloguj się

Treść komentarza

Abby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania: jeden razy osiem jako liczbę:

[▶](#)

KOMENTARZE (1)

| 2015-10-24 20:13:35 [Cytuj](#)

patrzeć jest formą dwudziestokrotnie częściej używaną niż patrzeć ;)